

05 448

BP

BOHDAN CZARNOCKI
Montreal – Warszawa



ANI „GLOBALNA” ANI „WIOSKA”¹

WPROWADZENIE

Marshal McLuhan wprowadził nieodwołalnie do naszego języka pojęcie „globalnej wioski”. Dla niektórych stało się już ono pojęciem roboczym. Istotnie, w wyniku rozwoju technicznego, szczególnie elektroniki i transportu lotniczego, świat kurczy się bardzo, i to w zawrotnym tempie. Aczkolwiek pojęcie to odzwierciedla trwający już od pewnego czasu kierunek zmian i dość szeroko już się przyjęło, to moim zdaniem jest ono nie tylko przesadne, ale i nieściśle: to, co się wyłania w rezultacie tych przemian, nie jest właściwie ani globalne, ani też wiejskie – w sensie dopuszczalnym w uściślonych naukach społecznych².

Niezależnie od tego, co McLuhan mógł mieć na myśli, rozpowszechnione używanie tego powiedzenia – przynajmy: „nośnego”! – w rozmaitych kontekstach i interpretacjach, często doprowadza do pojawienia się zróżnicowanych biegunowo przekonań, które należałoby określić jako nieuzasadnione lub słabo uzasadnione „założenia” [*unwarranted assumptions*], tj. zbyt optymistyczne albo zbyt pesymistyczne oceny tendencji dominujących w obecnym świecie.

Potwierdzeniem powszechności takich przekonań czy „założeń” mogą być choćby zapisy w Internecie zawierające hasło *global village*! Ta metafora wywołuje coraz bardziej przesadne, dwojakie reakcje: od euforii do paniki. Takie skrajności

¹ Tekst ten był pierwotnie sformułowany w 1996 r., ale nie był dotychczas publikowany. Obecna, rozszerzona jego wersja zawiera rodzaj *post scriptum* na tematy związane z atakiem na USA we wrześniu 2001 r. i jego następstwami oraz uzupełnienie przemyśleń ogólniejszych o terroryzmie poprzednio opublikowanych w „Przeglądzie Zachodnim” 1997, nr 4.

Pragnę wyrazić wdzięczność moim studentom za ich przyczynki merytoryczne w dyskusjach na te tematy oraz moim pomocnikom – głównie Annie Fedor – za wpisywanie licznych poprawek i korygowanie mojej polszczyzny, ale przede wszystkim mojej żonie Susan za wytrwałe wspieranie moich postaw intelektualnych i moralnych, jak też za uzupełnienia biograficzne.

² W zwrocie „uściślonych” odwołuję się do pojęcia *second order discourse*, czyli do ostrożniejszego użycia języka niż nam pozwalają normy zwyczajowe lub przyzwyczajenia mowy potocznej. Uściślona terminologia naukowa wymaga co najmniej logicznie uzasadnionych definicji, jeśli nie empirycznych uzasadnień.

nie tylko wypaczają prawidłową ocenę rzeczywistości, lecz mogą być i bywają także szkodliwe w swych konkretnych konsekwencjach. Nie będę tu takich reakcji rozpatrywał. Zajmę się rozbieżnością pomiędzy powściągliwie interpretowaną metaforą McLuhana a rzeczywistymi historycznymi procesami, jakie nas ogarniają, szczególnie zasięgiem tej „globalizacji” oraz istotą „wieskości”.

GLOBALNOŚĆ

Globalność mianowicie jest poważnie ograniczona istnieniem wielkich regionów świata, które pozostają poza zasięgiem tych procesów.

Już w latach 40., czy wczesnych 50., Eleanor Roosevelt poparała swym autorytetem i popularnością twierdzenie, zapewne pochodzące z naukowych źródeł, iż około 2/3 populacji dosłownie „co noc idzie spać głodna”, a więc przypuszczalnie nie ma też praktycznie żadnego dostępu do tak „normalnych” dla nas urządzeń, jak telefon, jakiegokolwiek pojazdy mechaniczne z napędem silnikowym, a co dopiero odrzutowce, TV czy Internet. W tamtym też okresie światowej sławy naukowiczki szwedzkiej, Gunnar Myrdal, opublikował skromną książeczkę *Rich Lands and Poor*, z której pochodzi wytarte już, ale coraz bardziej aktualne powiedzenie „the rich get richer and poor get poorer”³.

W latach 90. Riccardo Petrella, pełniący rolę doradcy Unii Europejskiej, jako dyrektor jednej z jej agencji – *F.A.S.T. (Forecasting and Assessment of Science and Technology)*, wyraził jeszcze bardziej pesymistyczne, a empirycznie potwierdzone obawy co do proporcji ludności kuli ziemskiej już zubożałej i progresywnie biedniejszej, w cyfrach względnych, jeśli nie absolutnych. W 1992 r. szacował tę proporcję na 7/8 (czyli 87,5%). Natomiast koncentrację potęg finansowo-gospodarczych upatrywał już nie w kategoriach państw narodowych (jak np. G7), lecz w sieci około 30 aglomeracji miejskich, wymykających się coraz wyraźniej spod kontroli administracji państwowych i ponadpaństwowych, tzn. takich bloków, jak UE czy *NAFTA*, ugrupowań i organizacji: *British Commonwealth*, *Pacific Rim* czy nawet ONZ lub *WTO* (wcześniej *GATT*). Wówczas też apelował (jakże dawno przed wrześniem 2001 r.), by te gwałtownie rosące potęgi „opamiętały się” już nawet w swoim własnym interesie⁴. Te przekonywujące apele Petrelli były widocznie

³ G. Myrdal, *Rich Lands and Poor*, 1957.

⁴ W argumentacji Petrelli skazanie tak olbrzymiej większości populacji świata na tak ekstremalną pauperyzację jest nie tylko wielce niesprawiedliwe, lecz także nie mogłoby się utrzymać *is unsustainable* w świecie, który jest obecnie: 1) tak obficie uzbrojony (głównie w konsekwencji wyścigu zbrojeń z okresu „zimnej wojny”); 2) ekologicznie współzależny; 3) przed którym stoi widmo masowych fal migracyjnych, nie do powstrzymania (mimo tak znacznych wysiłków – także po publikacjach Petrelli – bogatszych krajów, by zahamować te migracje!). W takim świecie podobna strategia jest w końcu samobójcza dla krajów bogatych! Inny, nie mniej niepokojący argument nt. dominacji „przodujących rozwojowo” państw znajdujemy w R. Rosecrance, *The Rise of the Virtual State*, „Foreign Affairs” 1996, Jul/Aug, ss. 45-61.

wówczas nie zauważone lub odbierane jako nierealistyczne, jako „pobożne życzenia”. Teraz mamy coraz to dobitniejsze dowody ich istotności, potrzeby przeciwdziałania.

Można się spierać, czy te powiedzmy 2/3 ludzkości to to samo, co nazwaliśmy Trzecim Światem, jako że i tam istnieją „oazy” dość zaawansowane w rozwoju technicznym (np. w Południowych Chinach, Tajlandii, Indiach czy Brazylii). Nie ulega jednak wątpliwości, iż poza tymi „oazami” znaczna większość ludności naszego globu nie jest w żadnym znaczącym stopniu zintegrowana z technicznie zaawansowaną resztą świata, z tą stosunkowo małą częścią ludzkości, którą za McLuhanem można by nazwać *info-world*.

Inaczej jest z biedotą wewnątrz tych kilku zamożniejszych państw – powiedzmy, że jest to G7 i niewiele więcej – lub z biedakami, którzy jakoś potrafią egzystować w funkcjonalnej z nimi symbiozie. Tu większość ludzi biednych ma pewien, choćby pośredni, dostęp do mediów; co najmniej miewają oni okazje stykania się z ludźmi mającymi taki dostęp. Pewne elementy *info-ery* mogą prędzej przenikać w aspektach psychospołecznych, a więc kulturowych. Jednak te, raczej marginalne, procesy nie są tu głównym przedmiotem zainteresowania.

Bardziej istotną sprawą jest ocena, czy zintegrowanie z resztą świata jest korzystne czy nie dla danej społeczności lokalnej? Słynne tezy *metropolis-hinterland, core-periphery* itp., utrwalone w licznych publikacjach socjologii rozwojowej, są tu jak najbardziej istotne⁵. Wypływający z nich główny wniosek sprowadza się do stwierdzenia, że tam gdzie zintegrowanie, czyli skuteczne włączenie w światowy system rynkowy regionów, które Wallerstein zwie „peryferyjnymi” – a więc potencjalnie niemal⁶ wszystkich zintegrowanych regionów poza stosunkowo małymi obszarami „rdzenia”, czyli „metropolii” – powoduje stopniowe ich zubażanie, niekiedy prowadzące do prawie zupełnego wyjałowienia z wartościowych zasobów, z których najszkodliwsze jest wyjaławianie z zasobów ludzkich, czyli *brain-drain*. Jest ono oczywiście wysoce niekorzystne dla tych regionów.

Powinniśmy przynajmniej rozważyć – zakładając, że natychmiastowe przeciwdziałanie jest niemożliwe – czy nie byłoby lepsze dla tych regionów wstrzymanie lub nawet odwrócenie owych szkodliwych procesów. Możliwe jest, że cena, jaką zapłaciłyby za to, co my (etnocentrycznie) nazwalibyśmy

⁵ Por. całokształt badań i twórczości Immanuela Wallersteina i innych. M.in. zastosowałem tezę *metropolis-hinterland* w j. polskim w pierwszym rozdziale książki o średniej wielkości miastach Polski, pod red. B. Kunickiego, będącej pokłosiem konferencji w Gorzowie Wielkopolskim, która odbyła się jesienią 1979 r. W szerszym zakresie istotny jest tu także portal Internetu *web site*, znacząco nazywany *www.villageorpillage.org*. Tematyka tego portalu to, w swobodnym tłumaczeniu: „globalna wioska czy globalny rabunek?”.

⁶ Mówię „nieomal”, bo Wallerstein i inni odróżnia jeszcze „pośrednie” obszary *semi-periphery*, co do których na razie istnieje niejasność: czy niektóre z nich zdołają się wydzwignąć do poziomu „quasi-rdzenia”, czy raczej, co bardziej prawdopodobne, zdegradują się do stanu peryferyjnego. Polskę winno to szczególnie interesować, bo jest ona właśnie do tej pośredniej kategorii zaliczona.

technologicznym zacofaniem, byłyby o wiele mniejszą stratą niż takie dobra, jak własna, społeczno-kulturowa autonomia i oczywiście utrzymanie kontroli nad własnymi zasobami naturalnymi, w tym szczególnie istotnymi – jak twierdzą – zasobami ludzkimi. Ocena taka wynika dość jasno z faktu, iż do momentu pierwszego kontaktu tych regionów z naszą zachodnią cywilizacją posiadały one pełną suwerenność, a wszelkie zasoby były na wyłączny użytek społeczności lokalnych. Twierdzenie to jest dość oczywistą tautologią, skoro żyjącym w izolacji społecznościom własne zasoby, jak i suwerenne nimi władanie pozwoliły przeżyć długie wieki, a może i milenia, a dopiero kontakty z zachodnią cywilizacją stabilność ową zakłóciły.

Warto podkreślić fakt, że kraje obecnie „peryferyjne” istniały i jakoś funkcjonowały do momentu pierwszego kontaktu z cywilizacją zachodnią, że posiadały one ustroje – w tym szczególnie gospodarki *self-sustainable* (samoodnawialne). Ba! Niektóre z nich nie przetrwały właśnie na skutek tego kontaktu, np. *gros* autochtonów Ameryki Północnej i Środkowej, Australii... Z punktu widzenia etyki nieśmiało pojawiającego się w XXI w. należałoby te całkiem liczne wypadki określić mianem ludobójstwa [*genocide*], nie różniącego się skalą ani okrucieństwem od tych obecnie sądzonych w Hadze oraz wcześniej w Norymberdze!

Jeśli dalszy byt regionów peryferyjnych, czyli w większości zabiedzonych, jest obecnie zagrożony, to oczywiście powinno być, iż odpowiedzialność za to zagrożenie ponosimy „my”, a dokładniej imperia, głównie zachodnie, a nie „oni” – kolonizowani! „Metropolie” – a nie „peryferie”.

Proces „wyjaławiania” regionów geopolitycznie słabszych przez silniejsze zwykle odbywa się „kaskadowo”, tam gdzie dociera zorganizowana interwencja czy to gospodarcza (nie tylko rynkowa, także w gospodarkach scentralizowanych, np. typu sowieckiego), czy polityczna (niekoniecznie „aż” globalizacyjna; podobne procesy zachodziły np. w ustrojach feudalnych).

Przez „kaskadowo” rozumiem tu nie tylko *pecking order* [układ hierarchiczny] pomiędzy państwami, ale także i wewnątrz państw i między blokami państw. Tak jak każde większe miasteczko czerpie zasoby z okolicznych wsi – szczególnie zasoby ludzkie (*brain-drain*) – tak miasto kalibru np. wojewódzkiego czerpie z tych miasteczek... a stolica z ośrodków wojewódzkich. Podobnie kraje wysoko rozwinięte technicznie, widziane osobno czy w blokach (np. G7), lub międzynarodowe korporacje czerpią zasoby czasem za zgodą dawców (którzy mogą nie zdawać sobie sprawy, że jest to grabież!), ale częściej jednak świadomie bez ich zgody. Z moralnej perspektywy nie będzie przesadą rzec, iż zbyt często bez ogródek „eksploatują” one państwa lub regiony słabsze i uboższe.

Taka właśnie eksploatacja budzi – słuszne w zasadzie – oburzenie ludzi nią dotkniętych, a także uczulonych na nią aktywistów. Oburzenie to nie zawsze jest dostrzegane przez eksploatujących, albo i dostrzegane, ale kamuflowane lub ignorowane. Inna sprawa, że także w materialnym interesie eksploatowanych może

być ukrycie oburzenia, jako że (w krótkiej perspektywie czasu) alternatywą dla niesprawiedliwie niskich zarobków jest jedynie większa nędza i głód.

Jak wiemy, do początkowo spokojnych publicznych manifestacji dołączają się coraz liczniejsi „rozrabiacze”, przypuszczalnie motywowani bardziej impulsami niszczycielskimi i niechęcią do władz, niż właściwymi celami danego protestu. Taka „mieszanka” nie zawsze prowadzi do osiągnięcia pożądaných celów, które to cele w przekazie popularnych mediów są często celowo „wyciszane” w interesie potężnych państw i korporacji lub w pogoni za sensacją. A szkoda!⁷ Oczywiście należy skrupulatnie rozróżniać gorące, żywiołowe reakcje, uzasadnione czy też nie, i chłodną analizę tych zjawisk, którą zamierzono tu przeprowadzić.

Spokojne, pokojowe przeciwstawianie się niesprawiedliwościom, nadużywaniu władzy, arbitralnej przemocy – to przecież historyczne podstawy i instrumenty naprawcze ustroju demokratycznego. (Zaprzecza temu niezwykle krwawy przebieg Rewolucji Francuskiej, mimo jej szczytnych celów. Lepszymi przykładami są oczywiście metody Gandhiego w Indiach, no i „Solidarność” 1980-81 w Polsce). Natomiast nadużywanie przemocy, tak ze strony opozycji, jak i oficjalnych organów porządku publicznego, musi być w ostatecznej ocenie uznane za zaprzeczenie takiego ustroju.

Puentą tej części wywodu jest, chcąc nie chcąc, unowocześniona wersja starego lewicowego zarzutu. Tak jak ongiś kolonizacja militarna, wykorzystująca inne ludy i obszary dla własnych celów, tak obecna „galopująca” dominacja gospodarczo-finansowa, narzucana przez korporacje-giganty wspomagane mniej lub bardziej świadomą polityką ich rodzimych administracji (już nie zawsze państw narodowych jako takich, bo także UE, NAFTA itp.), funkcjonują analogicznie, tyle że teraz zwykle bezkrwawo, względem zdominowanych rejonów świata. Te z nich, które dość biernie poddają się tej dominacji, a jednocześnie uważane są (przez potęgi dominujące i ich nie zawsze uświadomionych rzeczników!) za „skutecznie zintegrowane” w globalnym systemie rynkowym, doznają masowej pauperyzacji, powolnej lub gwałtownej – co nie dziwi w świetle powyższych argumentów. Jedno co mogłoby zastanawiać to fakt, że pauperyzacja ta zwykle omija rodzime elity, ludzi u władzy, którzy mogliby protestować, ale tego nie czynią zwykle z egoistycznych pobudek.

Na skutek potęgujących się ostatnio znowu sytuacji przynoszących takie efekty – znowu, bo poprzednio był to okres kolonizacji militarnej – (mam tu na myśli takie interwencje mocarstw, jak te w Wietnamie, Somalii, Iraku, Czeczenii, Palestynie) zachodzi pewna, choć nieadekwatna zmiana w percepcji, szczególnie w odniesieniu do „rozprawy” z Afganistanem oraz spraw z tym związanych. Do niedawna świat

⁷ Mam na myśli protesty – nie całkowicie spontaniczne ani słusznie umotywowane, z domieszką szkodliwych dla sprawy wybrków chuligańskich – w reakcji lub pseudoreakcji na takie spotkania potęg obecnego świata, jak te w Seattle, Pradze, na Okinawie, w Quebecu i ostatnio w Genui.

już zintegrowany (info-elektroniką przynajmniej) mało lub wcale nie słyszał i nie widział tej masowej pauperyzacji, bo najczęściej patrzył przez pryzmat rodzimych czy nawet tamtejszych elit. Dopiero po 11 września media przybliżają nam nieco bardziej ową przykrą prawdę⁸. Jednak migawki, np. telewizyjne, tworzone w pośpiechu i nie uwzględniające kontekstu historycznego, nadal nie przynoszą miarodajnego obrazu.

TEZA I JEJ POTWIERDZENIA

Procesy dominacji rynkowej – bo raczej tak należałoby je nazwać – jeśli nie całkowitej hegemonii finansowo-gospodarczej, mają prawie globalny zasięg (a co najmniej globalne ambicje!). Ale są to procesy typu *metropolis-hinterland*. Zdominowane rejony są pozbawiane swych zasobów, często „obrabowywane” po niekorzystnych cenach z zasobów naturalnych i produktów rolnych (teza Prebisha), a co najbardziej szkodliwe dla przyszłości takiego zdominowanego kraju – pozbawiane najcenniejszych zasobów ludzkich: emigrują bowiem co zdolniejsi, lepiej wykształceni i bardziej przedsiębiorczy (drenaż mózgow). Krótko mówiąc, taka „integracja” czy globalizacja, owszem, następuje, i to raczej gwałtownie. Ale zazwyczaj jest ona głównie szkodliwa dla odbiorców (dominowanych), a bez wątpienia korzystna dla dawców (dominujących).

Czy tak jest naprawdę? Czy to może tylko „odgrzewana” propaganda z minionej epoki? Jeśli czytający te słowa nie są wystarczająco przekonani moimi wywodami, to sugerowałbym lekturę opracowań dotyczących tych tematów, tak „klasycznych”, jak i nowszych.

Pomijając zażarte, dogmatyczne wypowiedzi marksistów, mamy oceny tak wiarygodnych naukowców, jak Gunnar Myrdal, Raoul Prebisch czy Emmanuel Wallerstein. Inni, jak np. Andre Gunder Frank lub Noam Chomsky, bywali uważani za zbyt kontrowersyjnych czy nawet politycznie niebezpiecznych w okresie „zimnej wojny”. Zainteresowanie i troska o biedniejsze rejony świata, wyraźnie zauważalne, choć nadal okazywane w niewystarczającym stopniu, powinny skłonić ludzi myślących do zrewidowania ewentualnych negatywnych opinii o tych naukowcach.

W odróżnieniu od wymienionych autorów „klasycznych” pozycji poruszających tę tematykę, nagromadziło się wiele nowszych opracowań. Ich „ciężar gatunkowy” jest naturalnie nierówny bądź to ze względu na prezentowane skrajne postawy polityczne, bądź wątpliwe podstawy empiryczne.

⁸ J. F. Kennedy: „Lepsze są przykre prawdy niż przyjemne iluzje”.

AUTARKIA

Powracając do kwestii szkód, jakie ponoszą co najmniej niektóre, jeśli nie większość rejonów „globalizowanych”, należy jeszcze poruszyć tak niemodną dziś kwestię autarkii. Jak to ocenia np. Gunder Frank, w okresie pierwszych kontaktów europejskich kolonizatorów z późniejszymi koloniami niektóre z nich posiadały wyższą kulturę niż europejska – np. Indie i Chiny – a przez samo swoje istnienie udowadniały, że jakoś sobie dają radę bez nas!

A zatem można by kwestionować, czy nie byłoby dla nich (ówczesnych kolonii) lepiej, gdyby mogły pozostać w całkowitej izolacji? Abstrahując od czasów kolonizacji militarnych, cena za odizolowanie od technicznych „wspaniałości” Zachodu (obecnie raczej krajów G7), a mianowicie zacofanie technologiczne (zacofanie w naszym etnocentrycznym mniemaniu), może mieć, w całościowym, historycznym podsumowaniu, mniejsze znaczenie dla danego społeczeństwa niż to, co się zyskuje przez izolację (np. dawna Japonia). Izolacja bowiem wraz z zacofaniem technologicznym rekompensują te „zyski” nie tylko duchowe, uczuciowe, abstrakcyjne, lecz także materialne! Izolacja pozwala na zachowanie autonomii, odrębności, tożsamości kulturowej, a także bardzo konkretne zachowanie na własny użytek zasobów potrzebnych do życia, jakimi dana społeczność dysponuje i które (z definicji) utrzymywały ją przy życiu przez długie wieki⁹. Przykładów jest wiele, m.in. tzw. Indianie obu Ameryk, Eskimosi Kanady i Europy Północnej, pierwotne ludy Australii, Nowej Gwinei itd. Wszystkie te ludy były jakoś, jeśli nie dobrze funkcjonującymi, trwałymi społecznościami, które ewidentnie dawały sobie same radę przed pierwszym kontaktem z cywilizacją europejską. Z pewnymi, wytłumaczalnymi wyjątkami. Wszystkie też na tym kontakcie znacznie, jeśli nie katastrofalnie, ucierpiały.

*

Podsumowując, to właśnie problem nie zintegrowanej części ludzkości jest właściwie ignorowany w omawianej metaforze McLuhana, tak jak jest ona potocznie rozumiana. A to właśnie ta część jest, moim zdaniem, szczególnie godna uwagi, zwłaszcza w odniesieniu do wzmagających się procesów przechodzenia

⁹ Poza autentycznymi, historycznymi (tzn. *long range*) interesami technologicznie mniej rozwiniętych społeczności jest tu także nadzwyczaj i coraz pilniej istotny ekologiczny interes planety: tzn. prymitywne, a lepiej rzecz *self-sustaining* gospodarki o wiele mniej zanieczyszczają środowisko naturalne i o wiele mniej zużywają nieodnawialnych zasobów. (Z pewnymi wyjątkami, jak np. przeludnienie, dopuszczanie, by przeżuwacze ogolaczały zieleń i przyczyniały się tym samym do tworzenia pustyń w Afryce, na Płw. Iberyjskim czy Azji Wschodniej). Patrz argumentacja o gospodarkach samoodnawialnych na str. 6.

zamożniejszych regionów kuli ziemskiej w erę informacyjną. Jest to bowiem era, która wyróżnia nas, uprzywilejowanych, nie tylko raptownym wzrostem w sprawności przekazywania informacji – łatwiej, częściej przez nas dostrzeganym – ale także niesamowitym wzrostem skłonności do polegania na zaawansowanej technologii we wszystkich prawie sferach, tak w produkcji, usługach, jak i w życiu domowym, codziennym. Właśnie dlatego, że wszystkie te (rzeczywiste, albo i pozorne) „wspaniałości” osiągalne są tak łatwo w najzamożniejszych regionach świata, procesy te powodują coraz bardziej rażący podział naszego globu na kraje „bogate, które się bogacą i kraje ubogie, które ubożeją”¹⁰. „Pozorność” wielu zjawisk naszej ery jest pod wieloma względami istotna dla kwestii rozdziału bogacze-biedacy: Z jednej strony przenikające do uboższych rejonów wizerunki zamożności (TV, filmy...) mogą pobudzać do pracy (poprzez skłonność do wygodnictwa, dbałość o potomstwo czy zwykłą chciwość). Z drugiej zaś często powodują nierealistyczne „chciejstwo” z negatywnymi konsekwencjami politycznymi, a bez pozytywnych gospodarczych. Trzeci rodzaj efektu to (zwykle umyślne) „urabianie” rynku zbytu na produkty i usługi wytwarzane w rejonach „rdzennych”, tj. dominacji finansowo-gospodarczej.

Z tych trzech efektów tylko pierwszy może być korzystny dla odbiorców takiego informacyjnego przekazu. Pozostałe dwa są dla nich – dla nas? – zdecydowanie ujemne i często niweczą pozytywne skutki pierwszego¹¹. By podźwignąć cywilizacyjnie rejon uboższy, jego decydenci muszą zręcznie manipulować owymi „pozorami” w kontekście częściowo autarkicznej polityki kraju oraz właściwej, rodzimej wersji „społeczności informacyjnej” [*information society*], czyli mówiąc dobitniej, właściwej własnej (kontr-)propagandy gospodarczej.

To co powinno ludzi dobrej woli najbardziej przejmować, a nawet przerażać, to fakt, że kraje ubożejące są w olbrzymiej większości i w tym wyraża się chyba głębszy dramat naszej epoki niż w tym spektakularnym rozroście przekazu informacji, w którym McLuhan i inni tak się lubują.

WIEJSKOŚĆ

Stwierdziłem powyżej, iż hasło McLuhana „globalna wioska” wcale nie sygnalizuje procesu powstawania na świecie prawdziwej „wiejskości”. W pewnym sensie jest odwrotnie – właśnie to co nie jest zintegrowane na skalę globalną, pozostaje w przeważającej mierze wiejskie. Natomiast ta stosunkowo niewielka część ludności kuli ziemskiej, która faktycznie jest, a także czuje się do pewnego

¹⁰ G. Myrdal, *Rich Lands and Poor...*

¹¹ Właśnie tych dwóch Polska doświadcza nadmiernie: drugiego efektu już od czasów „wczesnego Gierka”, a trzeciego – coraz wyraźniej przez ostatnią dekadę.

stopnia zintegrowana (bo zintegrowanie w społeczną całość pozostaje na razie raczej pozorne, segmentalne, aczkolwiek potencjalnie możliwe), jest właśnie najbardziej zurbanizowana. Rozważając charakter tej części ludności z różnych punktów widzenia, „wiejskości” nie widać. Postrzega się ich raczej jako ludzi w znacznej mierze i to już od dość dawna wykorzenionych z blisko powiązanych wspólnot całościowych. Może to i dobrze, że jednocześnie są oni zliberalizowani i zindywidualizowani, ale trudniej cieszyć się, że proces ten czyni człowieka bardziej osamotnionym, wyobcowanym, znerwicowanym, traktującym innych fragmentarycznie, tymczasowo, jeśli nie instrumentalnie. Niestety w pewnej mierze te oceny odnoszą się także do nas samych, jako że my, rozważający te sprawy, sami należymy do owej ponoć zintegrowanej mniejszości ludzkiej.

Spójrzmy na tę „wiejskość” przez pryzmat dwóch różnych zakresów pojęciowych – materialistycznego i funkcjonalistycznego.

Z materialistycznej, lub uściślając, z marksistowskiej perspektywy trudno zignorować „bazę”, czyli gospodarcze podstawy, produkcję środków do życia oraz odnośne związki międzyludzkie. Otóż ta względnie zintegrowana mniejszość ludzkości, którą McLuhan proponowałby nazwać „globalną wioską”, dawno przestała być zależna od rolnictwa jako głównego źródła utrzymania; rolnictwo istnieje oczywiście także w tzw. krajach rozwiniętych, ale traci sporo swego dawnego znaczenia jako dział gospodarki, często jest subsydiowane. Ponadto coraz mniejsza część produktów rolnych jest spożywana przez samych rolników; coraz więcej produkują oni „masowo”, na sprzedaż. Według samego Marksa, jest to istotna zmiana, z ustrojowymi konsekwencjami: przejście od produkcji głównie na własny użytek do produkcji handlowej na rynek.

Społeczne konsekwencje tego procesu widzieliśmy w Polsce, głównie za czasów PRL, podczas intensywnego uprzemysławiania. Jednakże inne są stosunki międzyludzkie w rodzinach rolniczych, które muszą zapewnić sobie środki do życia w perspektywie 12 miesięcy: od plonu do plonu, a inne w rodzinach robotników najemnych – w rolnictwie czy przemyśle, żyjących „od wypłaty do wypłaty”, czyli w skali miesiąca, tygodnia czy dniówki. Co pewnie jeszcze ważniejsze, robotnik taki nie pracuje w swoim gospodarstwie rodzinnym, lecz często jest od swej rodziny oderwany nie tylko w miejscu pracy, ale i miejscu zamieszkania. Dodajmy, że taki wyizolowany ze swego środowiska robotnik-były chłop był skłonny regularnie przepijać część swojej wypłaty, co mogło powodować, iż przed kolejną wypłatą znajdował się w sytuacji podobnej do przednówka. Są to przykłady drastycznych konsekwencji społecznych uprzemysłowienia, a także urynkowania rolnictwa. Taka zmiana warunków bytowych „kształtuje” wiele, nie tylko „świadomość”.

Trudniej jest zidentyfikować koncepcyjne sedno funkcjonalistycznej ramy pojęciowej w socjologii niż sedno materializmu. Ale weźmy pod uwagę słynny schemat, w którym czołowy funkcjonalista Talcott Parsons¹² określił cztery dychotomiczne

¹² T. Parsons, *The Social System*, Glencoe, University Press, 1951.

pary norm społecznych, gdzie w każdej parze jeden „biegun” charakteryzuje społeczność tradycyjną (m.in. wiejską), a drugi – powiedzmy skrótowo – zmodernizowaną: Otóż świat wysokiej technologii quasi-integrowany info-elektroniką¹³, któremu McLuhan przypisuje miano „globalnej wioski”, wyraźnie sytuuje się po stronie charakteryzującej się: 1) wysokim stopniem wyspecjalizowania [*specificity*], a nie rozproszenia [*diffuseness*]; 2) uniwersalizmem, a nie partykularyzmem; 3) neutralnością emocjonalną, a nie emocjonalnością, no i oczywiście 4) statusem osiągniętym, a nie przypisanym [*achievement, vs ascription*]. A więc schemat ten bezsprzecznie umieszcza McLuhanowską pseudowioskę po stronie zmodernizowanej, a nie tej tradycyjnej.

Porównajmy np. relacje społeczne na polskiej zagęszczonej wsi niewiele lat temu z występującymi w obecnym wielkomiejskim, młodym pokoleniu inteligentnym. Wielkomiejskie „zagęszczenie” jest oczywiście wielokrotnie większe niż na dawnej polskiej wsi¹⁴. Niemniej jednak wielkomiejskie znajomości, przyjaźnie, słowem „wspólnotowość” zazwyczaj nie jest nawiązywana na bazie bliskości przestrzennej. Sąsiadów z klatki schodowej czy z bloku obok często nie znamy itd. Natomiast różnorodne związki, i to zwykle nie tak całościowe, jak to bywa we wspólnotach, nawiązujemy głównie na podstawach takich, jak: znajomości w pracy, szkole, stowarzyszeniach, kościele, klubie itp. Krewni też są rozsiani. Ale zwłaszcza młode pokolenie inteligentne – główny inicjator i „nośnik” ery informacyjnej; dlatego tu eksponowane – coraz częściej i coraz intensywniej nawiązuje szczególnego pokroju kontakty¹⁵ z różnymi ludźmi rozsianymi po świecie; w zasadzie nie tak jak do niedawna drogą listową, telefoniczną czy faksem, lecz przede wszystkim za pomocą telefonu komórkowego oraz poprzez sieci komputerowe (Internet itp.), posługujące się prawie natychmiastowym (i względnie tanim lub darmowym) przekazem satelitarnym.

W przeciwieństwie do McLuhanowskiej pseudowioski, młody człowiek wychowujący się na prawdziwej wsi komunikuje się bezpośrednio, twarzą w twarz ze wszystkimi, których zna – a może znać i być znany przez całą wieś. Wszelkie formy oddziaływania zwykle odznaczają się bliskością, są całościowe, a co najważniejsze pozwalają na daleko idącą kontrolę społeczną, ponieważ w takiej sytuacji bardzo

¹³ Info-elektronika zawiera oczywiście wszelkie sposoby zdalnego komunikowania się, w tym radio, satelitarną TV, Internet.

¹⁴ Wiejskie zagęszczenie jest tu istotne, bo w Kanadzie i USA domostwa rolnicze są w większości rozsiane po wielkich terenach, szczególnie na preriach. Tak więc McLuhan miał przypuszczalnie odmienny obraz odniesienia dla tej metafory. Jeśli tak, to niewłaściwy: autentyczna wieś, znana dawniej nie tylko w Europie, ocalała gdzieś tam, ale nigdy nie istniała w Ameryce Północnej.

¹⁵ Szczególne kontakty, czyli też zwykle nie całościowe, „wspólnotowe”. W kategoriach potocznych są one określane jako kontakty od czasu do czasu, wybiórcze, w wymienionych kategoriach Parsonsa „wyspecjalizowane” i raczej traktowane uniwersalistycznie z ograniczoną emocjonalnością. Status przyjaciela też się teraz raczej „osiąga” i można go łatwiej stracić, podobnie jak i inne nowoczesne statusy: polityczny, zawodowy...

trudno jest ukryć jakiegokolwiek zachowanie, szczególnie zachowanie odbiegające od normy, konwencji, zwyczajów, czyli zachowanie dewiacyjne.

McLuhanowską pseudowioskę cechuje – przeciwnie – komunikowanie się na odległość, wyspecjalizowane, fragmentaryczne, uniemożliwiające prawie kontrolę społeczną (por. Parsons, 1951). Media elektroniczne (od telefonu po sieci komputerowe) pozwalają na prywatność, a nawet anonimowość, a zatem daleko idącą swobodę w zachowaniach, ułatwiając, a może nawet zachęcając do nadużyć, różnych dewiacji, a niekiedy i do przestępstw (np. tzw. hakerzy komputerowi, bezprawnie włamujący się do cudzych, często poufnych, kont komputerowych i nierzadko wykorzystujący tak zdobyte informacje dla własnych korzyści lub niszczący wartościowe zbiory danych itp.).

Wymieniłem tu tylko niektóre istotne aspekty różniące prawdziwą wioskę od pseudowioski. Moją intencją jest, by świadomość tych i podobnych kontrastów była ostrzeżeniem przed błędnym rozumieniem i nadmierną generalizacją metafory McLuhana. Po drugie świadomość ta powinna pozwolić dostrzec, że ta postępująca (aczkolwiek bardzo daleka od kompletnej) globalizacja, przy swych znacznych pozytywnych konsekwencjach, entuzjastycznie przyjmowanych przez jej uczestników (włącznie z piszącym te słowa), niesie także duże niebezpieczeństwa, a wcale nie obiecuje powrotu do utraconej wspólnoty międzyludzkiej. Nie zaprzeczając potencjalnie globalnej skali kontaktów, kwestionować trzeba ich charakter i pewne konsekwencje społeczne.

„SAMOTNY TŁUM”

W pewnym sensie ten najnowszy, elektronicznie napędzany etap globalizacji jest wyolbrzymieniem i pomnożeniem tego, przed czym ostrzegał Louis Worth na przełomie poprzedniego stulecia. Główną społeczną konsekwencję zaawansowanej już wtedy urbanizacji widział także David Riesman: ludzie są stłoczeni, ale jednocześnie osamotnieni (książka nosi tytuł *The Lonely Crowd [Samotny tłum]*). Możliwość komunikowania się za pomocą wszelkich, gwałtownie udoskonalanych urządzeń elektronicznych wspaniale pokonuje dystans, a także czas przekazu, niezwykle „stłaczając” tym sposobem nie tylko czynnych uczestników, ale także nawet biernych widzów TV. To wszystko prawda. Ale tak widz telewizyjny, jak i namiętny „komputerowiec” w końcu pozostają samotni. Liczne kontakty tych największych zapaleńców w pogoni za nowoczesnością, za modą są najczęściej fragmentaryczne, przelotne, w odróżnieniu od całościowych i trwałych związków z czasów prymitywniejszej technologii.

Społeczne, ogólne konsekwencje tych technologicznie napędzanych przemian należy określić jako sptykanie związków międzyludzkich, rodzaj dehumanizacji. W ostatnim fragmencie tego opracowania wskazałem na krańcową tego formę: zdalne, bezpilotowe bombardowania jako jeden z ostatnich wynalazków militarnych

USA. Ale spotykamy się z analogicznymi przejawami na co dzień. Wiemy np. jak wygląda statystyka małżeństw, separacji i rozwodów, szczególnie w wysoko rozwiniętych krajach. Najniebezpieczniejszą konsekwencją społeczną tych zjawisk jest oczywiście kwestia przekazu międzypokoleniowego, wychowania młodzieży. Przy jednoczesnych brakach wychowawczych tak w rodzinie, w szkolnictwie, jak i w kościołach największych wyznań nie powinny nas dziwić rosnące patologie społeczne, zaczynające się od wagarów szkolnych i nieróbstwa, poprzez alkohol, chuliganizm prowadzące aż do przestępczości i narkomanii. Co gorsze, te zjawiska mają nadal tendencje wzrostowe, mimo że w światlejszych kręgach zaczęto zwracać uwagę na istniejące tu powiązania przyczynowo-skutkowe oraz wzywać do naprawy.

Najnowszym przejawem sptyczenia związków międzyludzkich, ich „rozluźniania” jest przyjęcie w Ameryce Północnej zasady całkowicie „przelotnego”, niezaangażowanego w żadnym sensie, zaspokajania popędów. Nosi to potocznie nazwę *hooking-up*, czyli łączenia się bez zobowiązań na jedną noc, wieczór czy nawet jedną godzinę (wywiad CTV z 27 VII 2001). Kiedy prowadzący wywiad dziennikarz porównał to do dawniej używanego określenia *one night stand*, sprawozdawca zaprzeczył, słusznie twierdząc, że wcześniejsze określenie łączyło się z wyraźnie negatywną oceną takiego zachowania, co nie ma miejsca w odniesieniu do pojęcia *hooking-up*, które jest ponoć akceptowane bez żenady tak przez młodocianych uczestników, jak i otoczenie ich rówieśników. Zaspokojenie fizycznej potrzeby jest dla nich wystarczającym motywem podjęcia takich kontaktów; niczego więcej nie oczekują.

To parcie ku maksymalnej przelotności, nawet w intymnej formie fizycznego zbliżenia, jest tym bardziej wymowne, iż zaprzecza, a co najmniej osłabia potrzebę emocjonalnego czy duchowego zbliżenia między ludźmi, zwykle uważaną dawniej za potrzebę równoczesną, jeśli nie konieczną. Zaprzecza – tęsknocie do utraconej wspólnoty! Co może najbardziej zastanawiające, bo groźne, to to, że zaprzecza potrzebie ostrożności w intymnych stosunkach, tak koniecznej wobec panoszącej się i powszechnie już znanej śmiertelnej choroby AIDS, rozprzestrzenianiu się wirusa HIV, jak i wobec ciągle zadziwiająco wielu nieplanowanych ciąż¹⁶.

W tym kontekście prawie wyjątkiem zaczyna się stawać nawiązywanie trwałych więzi, względnie całościowych związków międzyludzkich, jak przyjaźń, małżeństwo, trwała, niepatologiczna, poprawnie funkcjonująca rodzina! Sztuka ich zawierania i utrzymywania staje się jakby cennym „zabytkiem” czasów, które przemijają w tempie przyspieszonym wskutek omawianych zjawisk info-ery.

¹⁶ Przymuszczalnie przyczyniają się do tego kontrowersje dotyczące antykoncepcji i aborcji; negatywna postawa Watykanu.

Prawdą jest jednak, że wobec coraz częstszego obecnie oddalenia geograficznego, związki poprzednio zawarte udaje się niekiedy utrzymywać lub wspierać za pomocą nowoczesnej technologii, znacznie ułatwiającej porozumiewanie się na odległość. Znane są przypadki rozłąki, w których poczta elektroniczna umożliwia, poza częstym załatwianiem koniecznych spraw praktycznych, podtrzymywanie bliskiego kontaktu z życiowym partnerem – przyjacią, małżeństwem, rodziną. Jeżeli uprzednio istniejące więzy są wystarczająco silne, możliwa jest kontynuacja intymności emocjonalnej, intelektualnej, duchowej, co minimalizuje ból rozłąki, a niekiedy ratuje trwałość małżeństwa, przyjaźni itp.

Nie zaprzecza to ogólniejszemu stwierdzeniu, że zawieranie takich trwałych związków jest prawie niemożliwe za pomocą Internetu: zawiązywane są one według starych, wypróbowanych zwyczajów, a jedynie mogą być podtrzymywane w ten „nowoczesny” sposób.

Innym wyjątkiem jest stosunkowo niewielka garstka bardziej nowoczesnych intelektualistów i ludzi sztuki, dla których całościowe związki są mało istotne w porównaniu do związków czysto intelektualnych, werbalnych (proza, poezja) lub wizualnych (już nie tylko fotografia), te zaś „infostrada” potrafi zadowolić, bo całościowymi być nie muszą. Bywa i tak, że ich życie rodzinne, towarzyskie, erotyczne ma charakter marginalny i często raczej szczelnie odizolowany od życia zawodowego.

Wyjątki te pozwalają mi powrócić do tezy, iż nawet częste i „obfite” kontakty utrzymywane drogą elektroniczną same w sobie bardzo rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, prowadzą do prawdziwych, tzn. głębokich, trwałych i całościowych więzów międzyludzkich. A z takich tylko więzów może się składać prawdziwa wspólnota, co prowadzi do konkluzji, że wspólnot nie sposób budować przez komunikowanie się elektroniczne

*

Konieczne wydaje się jednak wyraźne zastrzeżenie. Ostra krytyka – tak moja, jak i innych – wątpliwych aspektów, jak i bardziej oczywistych złych konsekwencji sprzężonych procesów globalizacyjnych – urynkowanie, z informatyzowaniem, finansowo-gospodarczy imperializm, zdehumanizowany militarizm..., nie oznacza całkowitego braku stron dodatnich, ani też nie jest równoznaczna z nawoływaniem, by te procesy próbować całkowicie zahamować czy odwrócić. Chcielibyśmy wierzyć, że Adam Smith, Karol Marks i inni ekonomiści włącznie z Keynesem¹⁷ oraz jego następcami nie mylą się, że na tej ogólnej drodze rozwoju leży „dostatek narodów” [*Wealth of the Nations*], a więc kiedyś godne życie dla wszystkich!

¹⁷ Adam Smith (1723-1790), Karol Marks (1818-1883), John Maynard Keynes (1883-1946).

Głównym celem moich rozważań, jest bezsprzecznie pragnienie (chęć) zapewnienia godnego życia wszystkim. Problem w tym, że krytykowane tu procesy globalizacyjne – już istniejące i przewidywalne, mają konsekwencje odwrotne; co więcej doprowadziły już do zaostrzenia konfliktów zbrojnych na skalę globalną, do bezprecedensowego masowego uchodźstwa i masowych nielegalnych migracji. Obecnie bowiem wygląda na to, że poddajemy się im bez należytej rozwagi i zabezpieczeń... przede wszystkim kulturowych i społecznych, nie tylko politycznych i gospodarczych.

Metafora McLuhana i szersza kwestia naszego wchodzenia w epokę poprzemysłową, informacyjną zasługuje na dalszą, głębszą niż przedstawiona powyżej, analizę; na baczne śledzenie jej rozwoju, a szczególnie na skrupulatną, ostrożną rozważę młodego pokolenia, któremu w tej epoce przychodzi żyć. Jest to zatem stosowny temat do rozważań nad „lepszą przyszłością”.

Motywacją do tego ostatniego sformułowania był napis-graffiti zauważony niedawno na Pradze na jakimś murze: „Dobre jutro było wczoraj”. Pragnę przyczynić się do tego, by dobre jutro było... niebawem. Można by zapewne wykorzystać zdobycze ery informacyjnej dla osiągnięcia dobra ludzkości, ale niebezpieczną mrzonką byłaby wiara, że owo „lepsze jutro” przyjdzie samo, automatycznie. Lepsze jutro musimy budować, i to razem!... wspólnymi siłami ubezwłasnowolnionych i tych, którym ubezwłasnowolnienie może grozić, a do nich należą także Polacy.

BUNT UBEZWŁASNOWLIONYCH

Z powyższych uwag wynika, iż biedniejsza ludność kuli ziemskiej cierpi wielką niesprawiedliwość. Teraz, na tle wydarzeń związanych z tragedią 11 września, koniecznie trzeba się poważnie zastanowić nad zależnościami przyczynowo-skutkowymi pomiędzy owymi ostatnimi wydarzeniami a ogólną sytuacją opisaną powyżej, trwającą już od bardzo dawna (choć wiadomo, że nie „zawsze”: koń, wielbłąd czy żaglowiec – nie umożliwiały takich hegemonii, na jakie pozwala nasz „Nowy [niezbyt] wspaniały” [info-] świat!¹⁸).

Tyle już było buntów, że na pozór można by wnioskować, iż każda głęboka niesprawiedliwość kończy się buntem uciśnionych. Co więcej, optymiści mogliby sądzić, że ich skutkiem jest polepszenie losu buntowników. Tak niestety nie jest, choćby z tej prostej przyczyny, iż ci, którzy uciskają, posiadają *ipso facto* środki militarne czy policyjne efektywnego uśmierzania takich buntów, i oczywiście je wykorzystują. Czasem jednak to się nie udaje i wtedy następuje rewolucja.

¹⁸ Aluzja do *The Brave New World* Aldousa Huxleya.

Mamy dwie dobrze znane, choć różne „recepty” na rewolucję, czyli na takie bunty uciśnionych, które się udają oraz przynoszą ze sobą zmianę ustroju w mniej więcej zamierzonym kierunku. Jedną z nich jest wyświechtane porzekadło, przypisywane Leninowi: „im gorzej tym lepiej”, według którego rewolucyjni przywódcy mieliby przewidywać, że im cięższy, trudniejszy do zniesienia jest los uciśnionych, tym bardziej podatni będą oni na urzeczywistnianie rewolucyjnych haseł.

Skromna, lecz dobrze empirycznie ugruntowana książka Crane’a Brintona pt. *Anatomy of Revolutions* po analizie wszystkich ważnych rewolucji wysuwa prawie że odwrotną tezę: Otóż dopiero wtedy można liczyć na potężny ruch powstańczy, kiedy, według metafory autora, pokrywa nad wrzącym kotłem zostaje z lekka uniesiona; wtedy następuje wybuch! Mówiąc precyzyjniej: ani przywódcy rewolucji, ani uciśnione masy nie będą się narażać na wykrwawienie, dopóki nie widzą względnie realistycznych szans na powodzenie, szans wynikających np. z korupcji, degeneracji czy innych słabości uciskających. Tak, ale to nie wszystko.

Nie tu miejsce, by obszernie przytaczać przykłady Brintona. Wystarczy jeden, Rewolucja Francuska. Choć niezwykle krwawa i według innych autorów (np. Moore, 1996) nie w pełni udana, dokonała ogromnych zmian ustrojowych tak we Francji, jak i w pozostałych częściach ówczesnego świata, a warunkiem tego sukcesu był niewątpliwie intelektualno-moralny poziom jej przywódców. Liczy się więc nie tylko wzburzenie ubezwłasnowolnionych i jednoczesne „uchylenie pokrywy kotła”, lecz także współdziałanie duchowe i intelektualne przywódców ruchu sprzeciwu.

Polakom łatwo nasuwa się analogia do kolejnych rozruchów w okresie PRL. Zaliczając do nich Poznań 1956, Warszawę 1968, Wybrzeże 1970, Ursus 1976 oraz Wybrzeże 1980 – wiemy aż nazbyt dobrze, iż jedynie te ostatnie były wystarczająco brzemiennie w skutki, ażeby, choć z opóźnieniem także, spowodować bardzo znaczne zmiany ustrojowe nie tylko w Polsce, ale również poza jej granicami. To, że uprzednie próby wprowadzenia pseudodobrobytu przez Edwarda Gierka były tak nieudolne, można by interpretować jako jednoczesne pogłębienie uczucia niedoli czy zawodu szerokich mas i uchylenie owej „pokrywy kotła”. Trzecim elementem warunkującym daleko idące konsekwencje 1980 r. było (i co do tego panuje zgodność wśród komentatorów) duchowe przywództwo Papieża-Polaka (wizyta w 1979 r.), a także i to, że znaczna grupa intelektualistów opozycji, z Tadeuszem Mazowieckim na czele, przyłączyła się do masowego ruchu robotników-stoczniovców. Te znane nam, Polakom, fakty – choć odległe od faktów Rewolucji Francuskiej – jednak potwierdzają przytoczone wyżej uogólnienia Brintona. Analogia mogłaby także posłużyć zrozumieniu „Buntu Palestyny”; do tej niezwykle istotnej kwestii powrócę niebawem, a teraz chciałbym odwołać się do swoich rozważań na temat terroru¹⁹.

¹⁹ B. Czarnocki, *Dylemat państwa – wolność i przemoc...*, ss. 28-40.

W świetle tragicznych wypadków z 11 września wymagają one uzupełnienia, bowiem w tamtym opracowaniu niewystarczająco podkreśliłem kryterium usprawiedliwiania działań militarnych lub quasi-militarnych, jakim jest wielkość ludzkich ofiar. Przypomnę, iż chodziło o wyraźne odróżnienie karygodnego i niedopuszczalnego terroru czy to dokonywanego przez państwo, czy przeciw państwu, od usprawiedliwionych, a może nawet najwyższego uznania godnych, ofiarnych walk o oswobodzenie spod wrogiej niewoli swego narodu lub grupy etnicznej. Otóż do tamtych przemyśleń koniecznie trzeba dołączyć potrzebę uwzględnienia niewinnych, nie uzbrojonych ofiar wszelkiego rodzaju przemocy po obu stronach – państwowej i antypaństwowej.

OSKARŻENIE

Takimi niedopuszczalnymi i wymagającymi ścigania i ukarania wszystkich za to odpowiedzialnych, są zbrodnie terrorystyczne dokonane przeciw USA w dniu 11 września, jak również – to, co Amerykanie eufemistycznie zwa *collateral damage* swych działań militarnych. Te „zniszczenia uboczne”, w rzeczywistości możliwe do uniknięcia, a przynajmniej ograniczenia bardzo licznych ofiar wśród niewinnych ludzi (tak w Afganistanie, jak i w Iraku, Libii, Libanie, Kosowie itd.), są powodowane po części karygodnym niedbalstwem, lecz także umyślną polityką USA, by za wszelką cenę unikać ofiar wśród Amerykanów. Tzw. *bodybag phobia* powstała na skutek opozycji wewnętrznej, a następnie klęski wojny w Wietnamie²⁰. Owe „zniszczenia uboczne” są w mojej ocenie niedopuszczalne i karygodne właśnie ze względu na to unikanie strat „za wszelką cenę”, ale tylko własnych, amerykańskich. Gdyby Amerykanie naprowadzali sterowane pociski bardziej precyzyjnie, z nieco niższego pułapu lub po dokonaniu skrupulatniejszego wywiadu na ziemi, byłoby wielokrotnie mniej strat w ludziach i dobytku, wśród niewinnych ludzi znajdujących się w pobliżu toczących się walk (nieruchomościach, infrastrukturze).

Wiele miesięcy upłynęło od początku ataków USA na Afganistan, a ciągle napływają wiadomości (np. *via* uznania godne reportaże *BBC-World*), że uciekinierzy tego zdewastowanego kraju umierają z głodu i zimna! Amerykanie potrafili dostarczyć tysiące ton materiałów wybuchowych, by ten kraj tak ostatecznie wyniszczyć, a nie potrafią, czy raczej nie widzą w tym swego „interesu”? nie czują

²⁰ Wysoce niepokojący jest fakt, że władze USA zablokowały dostęp swoim własnym obywatelom do wiadomości (m.in. satelitarnych) z rejonu walk w Afganistanie i okolicach. Co to za demokracja i wolność słowa, kiedy obywatelom świadomie odbiera się lub choćby utrudnia uzyskanie informacji o działaniach własnego rządu i wojska?

Ani szkolnictwo, ani media nie podają pełnych informacji. *Pentagon* cenzuruje doniesienia z frontu walk: to, co wybiera do przekazania mediom, zakrawa na *science-fiction*, „wirtualną rzeczywistość”.

takiej potrzeby? moralnej konieczności... by ratować te setki tysięcy ludzi, których tak skrzywdzili? Dewastacja Afganistanu (jak przedtem Kosowa, Libii, Wietnamu itd.) i ofiary ludzkie byłyby o wiele mniejsze, gdyby Amerykanie nie drżeli tak panicznie przed obawą, że ich żołnierz mógłby zginąć na wojnie; gdyby nie byli takimi asekurantami²¹.

Dobitnym dowodem takiej polityki USA było już w okresie wojny o Wietnam przechwalanie się tzw. *kill ratios*: kolejne administracje USA cieszyły się, kiedy na jednego zabitego Amerykanina wypadało kilkudziesięciu lub kilkuset Wietnamczyków. Można tu dodać, że aczkolwiek podawanie takich danych przestało być dopuszczalne w późniejszych doniesieniach prasy, niemniej jednak podobne relacje w liczbach ofiar istnieją pomiędzy zabitymi Izraelczykami a Palestyńczykami.

BUNT PALESTYNY

W zwarciu Palestyna-Izrael-USA należałoby dopatrywać się sedna, a co najmniej znaczącego symbolu desperackiego oporu przeciw potęgom dominującym w obecnym świecie. Nie kończący się szereg samobójczych bombo-nosicieli, przekonanych o świętości własnego męczeństwa, „ukoronowano” – też samobójczym – masowym morderstwem 11 września. Wiadomo że znaczna część państw arabskich oraz wiele, jeśli nie większość, religijnych wspólnot i zgromadzeń islamskich poza granicami tych państw co najmniej sympatyzuje, a często w zasobach ludzkich lub materialnie wspiera Palestyńczyków w ich nie kończącej się, a ostatnio pogłębiającej się niedoli. Nie powinno więc dziwić szczególnie nas, Polaków, pamiętających o własnej przeszłości, rozbiorach i nieskutecznych powstaniach, to, że znalazł się taki duchowy przywódca i superorganizator, jak Osama ben Laden, i że miał on wystarczająco szerokie poparcie, by takich czynów dokonać²².

W kontekście niniejszych rozważań trudno pominąć milczeniem fakt, że Palestyńczycy są w większości wyznawcami islamu, a także, iż Osama ben Laden (wbrew swemu elitarnemu, Saudyjskiemu pochodzeniu) w swych próbach motywowania bestialskich ataków na USA 11 września powoływał się na niesprawiedliwość odczuwane szczególnie przez Palestyńczyków²³.

²¹ Dotyczy to głównie dowódców i przewrażliwionych polityków – obawiających się przede wszystkim amerykańskiej opinii publicznej.

²² Podobno ben Laden nadal ma poparcie, możliwe że nawet rosnące, jeśli jeszcze żyje.

²³ Wybrałem specjalnie konflikt Palestyna-Izrael do szczególnego rozważenia, ponieważ: 1) istnieje on uporczywie na łamach prasy i w mediach elektronicznych od lat, a jego przekazy i interpretacje są, w mojej ocenie, zbyt często fałszywe; 2) w konflikcie tym tkwi istota – faktycznie i symbolicznie – stosunku USA tak do Izraela i pobliskich złóż ropy naftowej, jak i do świata muzułmańskiego; 3) ben Laden wymieniał szczególnie ten konflikt w swych próbach usprawiedliwienia terroru.

Jeśli natomiast spróbujemy spojrzeć na zmagania Palestyna-Izrael z perspektywy naszych własnych, polskich walk o niepodległość, naszych zmagania z wrogami zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi, nasuwają się analogie prowadzące do niektórych ocen rażąco sprzecznych z dominującym nurtem opinii o tych sprawach. Bez wątplenia te „obiegowe” opinie są kształtowane przez media krajów bogatych, a szczególnie USA, które wspierają Izrael przeciw Palestynie, co określa sposób interpretacji. Chodzi mi o zrozumienie, w sensie niemieckiego *verstehen*, sytuacji odmiennej od naszych polskich²⁴ oraz zakwestionowanie amerykańskiej interpretacji, bardzo powszechnie akceptowanej.

Chciałbym zwrócić uwagę na pewne analogie Polska – Palestyna, które istnieją mimo wielu odmienności. Wymienię ich tu kilka, a potem niektóre rozwinę: 1) tak Polska, jak i Palestyna nie miały bytu państwowego przez długi czas (wiadomo, są różnice, ale tu chodzi o wychowanie kilku kolejnych pokoleń bez państwowości: „A kaz tyz ta Polska, a kaz ta?” pyta Panna Młoda „...i nigdzie jej nie znajdziecie” [Wyspiański, *Wesele*]); 2) był czas (może już minął lub mija?) kiedy i my, Polacy, gotowi byliśmy życie oddać za ojczyznę, tak jak teraz Palestyńczycy; 3) wykonywaliśmy (AK) wyroki śmierci na naszych „oprawcach” podczas II wojny światowej, nawet wiedząc, że następstwem będą rozstrzeliwania niewinnych cywili. To oczywiście analogia do zachowań obecnego rządu Izraela, który „potrafi” wykonywać podobne wyroki na Palestyńczykach podejrzanych o uczestnictwo w zbrojnym ruchu oporu; 4) odnośnie do wrogów wewnętrznych, to przecież zapalczywy przeciwnik polityczny, Polak zabił prezydenta Narutowicza, podobnie jak obywatel Izraela, 27-letni Yigal Amir, prawicowiec, zabił Icchaka Rabina (1995); 5) w końcu (w odróżnieniu od względnie „łagodnych” [bez użycia broni] rozruchów w okresie PRL, wspomnianych wyżej) Polacy kilkakrotnie podczas rozbiorów organizowali zbrojne powstania skazane na przypuszczalne niepowodzenie, tak jak Palestyńczycy intifadę. Powstanie Warszawskie, w którym sam uczestniczyłem, też skończyło się klęską i wyniszczeniem „kwiatu” polskiej młodzieży rękami hitlerowców, a ku zadowoleniu sowieckich władz.

Jeszcze do niedawna my, Polacy-patrioci, „święcie” wierzyliśmy w krwawą walkę „za Naszą wolność i Waszą”, z największą ofiarą włącznie, z poświęceniem swego życia Ojczyźnie, i to nie tylko za jej wolność, ale za wolność innych, a także

²⁴ George Herbert Mead, czołowy myśliciel i socjolog USA, traktował właśnie empatię jako warunek rozwoju człowieka, jego dorostania, *maturity*: Nie możesz być dojrzałym człowiekiem, jeśli nie potrafisz wczuć się w sytuację i sposób myślenia osoby innej, obcej, może i pochodzącej z odmiennej kultury, cywilizacji. Tym bardziej nie mógłbyś być dobrym socjologiem. Myśl ta jest oczywiście zbieżna z pojęciem szerszym: z hermeneutyką tak ważną w historii, antropologii i wszystkich innych – chciałyby się wierzyć – naukach społecznych.

Wbrew podejściom pozytywistycznym jestem przekonany, chyba zgodnie ze „współczynnikiem humanistycznym” Floriana Znanieckiego, że właśnie tędy wiedzie droga ku bardziej obiektywnym ocenom, a zatem ku lepszym stosunkom międzyludzkim, ku „lepszej przyszłości”.

ciemieźonych, nawet za „ducha”! W pieśni „Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę...” znajdziemy przecież słowa „i hańba temu kto z nas za młodu nie chce się stawić choć na szafocie”, w *Rocie* – „Do krwi ostatniej kropli z żył będziemy bronić ducha...”, albo w uroczystej pieśni „Oto dziś dzień krwi i chwały...” – „Kto przeżyje wolnym będzie, kto umiera wolnym już”. W pierwszej strofie hymnu narodowego mamy: „Co nam obca przemoc wzięła / Szablą odbierzemy”²⁵.

Jak się mają takie wezwania i nasza rzeczywista waleczność do desperackich, samobójczych ataków Palestyńczyków na Izraelczyków? Oczywiście różni się ona poważnie tym, że ofiary tych ataków to głównie niewinni cywile, nie wojskowi. W naszych hasłach, jak i w naszych walkach, takich ofiar nie miało być, a było chyba niewiele. Niemniej jednak poświęcenie młodego życia w desperackiej, trwającej pokolenia walce o wolność Palestyny przeciw znacznie przeważającej militarnej potędze Izraela, za którym stoi najpotężniejsze mocarstwo świata, USA, jest zbieżne z naszymi niedawnymi polskimi ideałami!

Równocześnie Izrael wykonuje „wyroki śmierci” na głównych organizatorach akcji terrorystycznych Palestyńczyków (*Hamas* itp.) w niewybredny sposób (ataki bombowe, pociski sterowane czy niezbyt precyzyjne akcje komandosów). Zapewne Palestyńczycy chcieliby wykonywać takie same wyroki na swoich oprawcach z Izraela, przypuszczalnie z premierem Szaronem na czele, gdyby tylko mogli! I tu znów widać pewną, choć oczywiście nie ścisłą, analogię do naszych AK-owskich wyroków wykonywanych na hitlerowskich oprawcach, po „sądach” nie całkiem pełnoprawnych w cywilizowanym świecie.

PAŃSTWOWOŚĆ PALESTYNY

Przyjrzyjmy się nieco bliżej losom państwowości Palestyny. Tak jak Polska nie istniała formalnie jako państwo podczas rozbiorów, Palestyńczycy własnego państwa nigdy jeszcze nie mieli. Po rozbiorach dwudziestoletni okres międzywojenny traktowaliśmy jako naszą wymarzoną, aczkolwiek nie doskonałą, niepodległość. Podobnie Palestyńczycy „okres międzywojenny”, po upadku Imperium Otomańskiego, odczuli zapewne jako oddech względnej wolności, pod pobłażliwym i progresywnie liberalizowanym protektoratem Wielkiej Brytanii.

²⁵ Nauki społeczne zaakceptowały twierdzenie czołowych antropologów, wśród nich inicjatora tej myśli Lévi-Straussa, iż język wiernie odzwierciedla elementy kultury. Szczególnie znamienym zwierciadłem są, twierdziłbym, „sztandarowe” pieśni danego narodu. W tekście mówię jednak „do niedawna”, jako że w Polsce po II wojnie światowej obserwujemy dosyć radykalny zwrot kulturowy, który roboczo nazwałem „ubezkrwawieniem”: Już nie ma takiego entuzjazmu, by załatwiać problemy polityczne „ogniem i mieczem”. W tekście odnoszę się do popularnych niegdyś pieśni, tu można przywołać znany przebój Sławy Przybylskiej „Szedł i karabin ścisnął w pięści, uparcie wierząc w cud... że nie daremny trud”, a w nim szczególnie refren: „A potem już tylko krzyż z prostego drzewa... że to ostatni raz, że to nie powtórzy się już”. Nie chcemy już rozgrywać sporów przemocą, krwią.

Ta namiastka państwowości dla ludności obszaru do tego czasu objętego protektoratem, skończyła się formalnie uchwałami ONZ, we wrześniu i listopadzie 1947 r., zalecającymi podzielenie obszaru na 7 części²⁶. Uchwały te zapewne wypłynęły z dobrych intencji, jako że miały one uszanować różnice etniczne i religijne. W rezultacie: *primo*, wywołały walkę partyzancką ówczesnych mieszkańców tego obszaru (głównie Arabów) przeciwnych tym „rozbiorem”; *secundo*, „zachęciły” zamożniejszych (a więc sporo inteligencji, obrotniejszych) Arabów do opuszczenia tych ziem na stałe, oraz *tertio* – bezsprzecznie zgodnie z najlepszymi intencjami rekompensowania za hitlerowski holocaust, jak i pewnie za wieki diaspory – zachęciły Żydów z całego świata do powrotu z tułaczki i osiedlenia się wreszcie w ich „własnej” Ziemi Świętej. Zrozumiały entuzjazm Syjonistów do zapewnienia sobie (kosztem Palestyńczyków) „bezpiecznej państwowości”, a szczególnie zwycięska dla Izraela siedmiodniowa wojna w 1967 r. i niezachwiane wsparcie przez potęgę USA, doprowadziły Palestyńczyków do desperacji i długotrwałej walki, ostatnio – gwałtownie się pogłębiającej.

Zauważając fakt owej „niedoli” Palestyńczyków oraz przyrównując ją poniekąd do naszej polskiej rozbiorowej niedoli, należy jednak zwrócić uwagę także na elementy komplikujące interpretację odnośnych faktów, szczególnie na przypisanie częściowej odpowiedzialności za stan obecny czynnikom, powiedzmy, „ubocznym”. Poniekąd słusznie obwinia się (m.in. przez Izrael) resztę świata arabskiego o to, że lepiej nie zadbała o polityczne dobro, wykształcenie, gospodarczą samodzielność itp. Palestyńczyków. Bo ich „desperacja” wypływa w pewnej mierze z niedostatków tak gospodarczych, jak i intelektualno-duchowych²⁷, powodowanych nie tylko polityką i działalnością Izraela. Jednak wina społeczeństw arabskich za los Palestyny jest znikoma w porównaniu z ponad półwiekowym, potężnym naciskiem militarnym i gospodarczym Izraela (od 1947 r.), „skokowo” nasilonym w rezultacie wojny 1967 r., ale także i odwetową „intifadą” z inicjatywy skrajnych patriotów Palestyny od jesieni 2000 r. Wysoce negatywny, socjopsychiczny wpływ takiego bezustannego, prawie wojennego stanu rzeczy na wychowujące się w nim kolejne pokolenia jest oczywisty.

Negatywny – po obydwu stronach konfliktu, ale nie równy: kiedy Izraelici mogą pocieszać się swoją przewagą militarną, poparciem USA oraz swych ziomeków rozsianych po świecie, to Palestyńczykom pozostaje nie kończąca się seria upokorzeń, klęsk, żałoby, osamotnienia, a więc w końcu desperacji, mogącej

²⁶ Inne źródło [*R. H. Webster's Unabridged Dictionary*] podaje pod hasłem Palestyna: „Protektorat Brytyjski: 1923-46; podzielono między Izrael, Jordan i Egipt: 1948. Części Jordańskie i Egipskie okupuje Izrael od czasu wojny siedmiodniowej 1967” [poza półwyspem Synaj, oddanym później Egiptowi].

²⁷ Będąca konsekwencją ucieczki członków elit z Palestyny po 1947 r., głównie do innych krajów arabskich. Porównaj ucieczkę elit francuskich z *Nouveau France*, obecnie Quebec, po zwycięstwie wojsk brytyjskich na polach Abrahama. Palestyńczycy zdołali jednak wykształcić elitę częściowo nową, a zapewne częściowo składającą się z powracających na te ziemie, patriotycznych Arabów. Jednak nadal jest ona stosunkowo szczupła i bywa archaiczno-religijna.

tłumaczyć nawet chęć samobójstw, zwłaszcza gdy są one uzasadniane i rzeczywistym odwetem, i domniemaną obietnicą rozkoszy niebiańskich po śmierci. Nie znają oni świata bez walki z Izraelem!

Analogia?: podobnie wychowały się w nienawiści kolejne pokolenia w Północnej Irlandii, jak i ludność na naszych południowo-wschodnich kresach poprzez wieki krwawych polsko-ukraińskich zmagania!

Pytaniem nadrzędnym staje się, jak zmierzać do stopniowego, ale efektywnego uśmierzenia tak głęboko zakorzenionych nienawiści? Jakim „Salomonowym” sądem podzielić dobra... ba! świętości, do których obie strony roszczą sobie słuszne pretensje (Jeruzalem! Trzy strony, bo i chrześcijanie!)? A w końcu, jak zadośćuczynić tak olbrzymim wyrządzonym krzywdom?

Na takie pytania dobrej odpowiedzi nie udzielają oczywiście ani intifada, ani zwielokrotniony odwet militarny Izraela, ani też na pewno tak bestialskie ataki na symbole znienawidzonych potęg, jak te 11 września. Mniej oczywistym, kontrowersyjnym, a przez to samo bardziej wymagającym rozważym i ewentualnego zakwestionowania są z jednej strony stosowność i skuteczność potężnego militarnego ataku USA i sprzymierzonych wojsk na Afganistan, a z drugiej – adekwatność pomocy humanitarnej, a właściwie ratowanie od częstej śmierci z głodu i chłodu ludności, pozbawionej przez ten atak domów, środków do życia, wygnanych... A uciekinierzy z Afganistanu to przecież szczególnie jaskrawy przypadek całego, jeszcze poważniejszego, gigantycznego problemu: pauperyzacji większości mieszkańców naszej planety.

Jest takie lapidarne porzekadło: *If it ain't broke, don't fix it!* (Jeśli coś nie jest zepsute, to tego nie reperuj!). Izrael ma silne lobby w Stanach, „maszyna gra”, więc lepiej nic nie zmieniać, bo można „tylko popsuć”. Tak jak rządy Buzka zapewne wiele „popsuły” swoimi reformami... Otóż, jak sądzę, błąd tkwi w diagnozie, w obydwu wypadkach: W Polsce reformy były potrzebne, ale nie takie, jakimi próbowano „reperować”. A USA nie docenia chyba drugiej, złej strony tego co jest dobre dla Izraela. Owszem sprawiedliwość na Bliskim Wschodzie jest bardzo „zepsuta” i reperować ją trzeba, ale gruntownie, to znaczy od podstaw!

CODA

Każda rzeczywistość społeczna, zmienny bieg historii, krzyżowanie się losów ludzkich... wszystko to tematy niezmiernie złożone, pełne paradoksów i dylematów. Wyświechtane to, ale nie banalne, odwrotnie: doniosłe znaczenie ma w obecnym kontekście powiedzenie, iż trzeba zrozumieć przyczynowe podłoże, by móc sensownie przeciwdziałać, od podstaw. Ale rozumieć wcale tu nie znaczy ani usprawiedliwiać, ani „wybaczyć”.

Drugi bardzo ważny niby-banał to: „dobry cel nigdy nie uświęca złych środków, które do niego mogą prowadzić”; a w tym wypadku także i natychmiastowy cel

należy dobitnie zakwestionować. Bo nic nie może usprawiedliwić masowego morderstwa niewinnych cywili, jako „środka” do jakiegokolwiek celu. Nawet jeśli się tym cywilom, poniekąd słusznie, w ostatecznej ocenie przypisuje uczestnictwo w czynnościach powodujących masową niedolę na świecie – zwykle mało świadome uczestnictwo, co jest też zrozumiałe z powodu powszechnych przekłamań mediów.

Celem „natychmiastowym” ataków 11 września niezaprzeczalnie było steryoryzowanie [czyli wystraszenie, zachwianie pewności...] Stanów Zjednoczonych i reszty bogatych potęg. Nie ma co do tego wątpliwości. Jak dalece jest to jednak skuteczne dla polepszenia bytu ubogich, niedożywionych...w końcu ubezwłasnowolnionych? Czyli do realizacji celu ostatecznego?

Oczywiste jest już teraz, w kilka miesięcy po ataku z 11 września 2001 r., że ta ponoć przemyślana i konsultowana reakcja USA [konsultacje nie wykroczyły pewnie poza G7] i sprzymierzonych państw dokonała znaczących, jeśli nie definitywnych zniszczeń u źródeł tamtego ataku (Al Kaida) oraz logistycznego ich zaplecza (władze i wojska Talibów w Afganistanie). Jeśli tak, to udaremniono, a co najmniej bardzo utrudniono, możliwość dalszego ich działania (nawet jeśli sam ben Laden i część jego źródeł finansowych na razie ocalały). Wniosek z tego, że ci nader pomysłowi „organizatorzy” ataku 11 września błędnie ocenili mentalność, wolę i możliwości swych „wrogów”. A to błąd taktyczny! Można przyznać, że innym skutkiem ataku jest nieco zwiększone zainteresowanie losem Muzułmanów i innych ubogich tego świata, okazane przez poważniejszą prasę (np. „Foreign Affairs”, „The Economist”, „Washington Post”) oraz media (*BBC-World*, słabiej *CNN*)²⁸. To dobrze, ale jakim kosztem? Także kosztem rozbudzenia nienawiści do sprawców i ich sprzymierzeńców, niekiedy patologicznej ksenofobii!

Co byłoby strategicznie skuteczniejsze? Wpierw spójrzmy na to z perspektywy przynajmniej pozornych, jeśli nie rzeczywistych motywacji ben Ladena i jego sprzymierzeńców. Nie wiadomo oczywiście, czy są oni takiego pokroju: czy mogliby się zdobyć na strategię w stylu Gandhiego lub zgłębić formy działania typu *public relations management*. Należy domniemywać, że właśnie strategię tego rodzaju mogłyby osiągnąć „pożądane rezultaty”, bo przecież droga do zasadniczych przemian w polityce potęg politycznych i gospodarczych powinna prowadzić

²⁸ W samych Stanach Zjednoczonych powstała rozbieżność pomiędzy, powiedzmy, oficjalną wersją wydarzeń, lansowaną tak przez organy państwa, jak i podporządkowane media. Trudno jest ocenić, jaka część społeczeństwa odbiera tę wersję bezkrytycznie. Ale wiadomo z doniesień mediów nieamerykańskich, że część widzi rzeczywistość odmiennie. Na przykład wnikliwy dziennikarz *BBC*, Simpson, podaje taką wersję wywiadu z nowojorczykiem: „Wywieszanie flagi amerykańskiej? Różne może mieć znaczenia. Z jednej strony łatwiej wywiesić flagę, niż pojechać z wojskiem do Afganistanu, a z drugiej może to znaczyć ‘nienawidzę Arabów; zabiję każdego Araba i każdego z turbanem na głowie’”. A odnośnie do mediów – to, na co dozwala *Pentagon*, pokazywanie precyzyjnego bombardowania zdalnie sterowanymi pociskami z 35 tys. stóp to niby wspaniałe widowisko, lecz drastycznie ograniczone lekcjami wyniesionymi z Wietnamu: władze USA zmonopolizowały prawa do kontroli zdjęć satelitarnych i innych, nie pokazując odbiorcom ani cywilnych ofiar chybionych bombardowań, ani żołnierza amerykańskiego, któremu trzewia rozpruła granat (*BBC* – „Simpson’s World”, 7 II 2002).

poprzez dobitne zwrócenie uwagi, ba, przez wzburzenie opinii publicznej, uczulenie na niesprawiedliwości świata. A dlaczego „droga poprzez opinię publiczną”? Bo ludzie i organizacje spoza danego kraju zwykle nie mają dostępu do jego władz lub nimi gardzą. A dotarcie przez opinię publiczną do władz jest także słuszne i powinno być efektywne, dopóki istnieje wystarczająca ufność w demokratyczny charakter państw zamożniejszych.

Przekonanie bardziej krytyczne, przypuszczalnie zbliżone do poglądów takich jak ben Ladena, bierze się z braku zaufania do tej demokracji, a raczej opiera na twierdzeniu, że główne siły decyzyjne w krajach G7, to przede wszystkim transnarodowe korporacje-giganty i że ich wpływy przez finansowanie wyborów władz politycznych oraz poprzez *lobbying* są silniejsze niż opinie wyborców. Ale też i w takim razie ataki w rodzaju tego z 11 września miałyby odwrotny od zamierzonego skutek, jako że terroryzując te właśnie, *corporate* symbole władzy, w tym owe korporacje-giganty, powoduje się taką właśnie reakcją potęgi militarnej USA, jaka nastąpiła, nie zaś polepszenie bytu zubożałej większości – domniemany cel nadrzędny.

Analogicznie *mutatis mutandis*, ze strony USA i ich sojuszników (w tym także rządu polskiego!), o wiele słuszniej i skuteczniej było przeznaczyć te ogromne pieniądze już wydane zamiast na „wojnę z terroryzmem” raczej na walkę z ubóstwem, niedożywieniem oraz brakami opieki medycznej tej zbiedniałej większości ludzkości. Niewielkie są dotychczas „przebłyski” wnikliwszej analizy przyczyn oraz dobrej woli względem pokrzywdzonych na tzw. Zachodzie – ale jednak się pokazały. Potencjalnie najbardziej znaczący był podobno zauważalny na *World Economic Forum* w Nowym Jorku nowy nastrój pokory i odpowiedzialności²⁹.

PODSUMOWANIE

Obie strony tego konfliktu zachowały się nieracjonalnie. Strona Al Kaidy/ben Ladena doprowadziła do swego zniszczenia, a zniechęconych potęg wcale nie osłabiła, przypuszczalnie odwrotnie: zjednoczyła je, dodała tupetu, a przez zwiększenie zbrojeń pewnie poprawi ich, akurat kulejącą trochę, gospodarkę!

USA i jej sprzymierzeńcy pogłębili i rozszerzyli nienawiść, przestroch, wrogość do siebie militarnymi wyczynami, co z czasem może spowodować dalsze, może jeszcze bardziej desperackie akty terroru. Tego żadne *public relations* nie odrobi! A teraz lepiej było wydać te środki na uzdrawianie gospodarek, wypowiedzieć wojnę biedzie ludzkiej, nie „terrorystom”.

Mówiąc najkrócej, strategicznie najefektywniejszym byłoby, gdyby tak ben Laden, jak i George W. Bush..., tak Taliban, Al Kaida, jak i USA ze

²⁹ BBC – *World Report*, 5 II 2002, godz. 13:15.

sprzymierzeńcami wspólnie „wypowiedzieli wojnę biedzie”, a nie sobie wzajemnie. W końcu to nie terroryzm jest tu podstawową przyczyną konfliktu, jest on przejawem przyczyn głębszych, które usiłowałem przybliżyć.

Zdaję sobie sprawę, że podejście tu przedstawione ma charakter wyraźnie aksjologiczny, co nie jest zbieżne z realiami „życia politycznego”. Jestem jednak przekonany, że: 1) konieczne jest skoncentrowanie uwagi na głębszych przyczynach globalnych problemów, niż te dotychczas brane pod uwagę przez odnośnych decydentów politycznych i militarnych; 2) pogłębia się jednocześnie moralny kryzys (w tym zanikające postawy normatywne w wychowaniu rodzinnym, szkolnym, uniwersyteckim... puste kościoły, rozwydrzone media); 3) kto, jeśli nie socjolog, z perspektywy międzynarodowej, nie dbający o „karierę” może się podjąć (ryzykownego!) przeciwdziałania, przynajmniej w swych publikacjach, jeśli nie w czynach; 4) pragnąłbym jedynie, by ta rozprawka trafiła do rąk tych niewielu polityków, których jeszcze nurtują jakieś resztki „archaicznego” sumienia.

LITERATURA KLASYCZNA

- Brinton Crane, *Anatomy of Revolution*, Prentice Hall, New York 1952;
 Chirot Daniel, *Social Change in the Twentieth Century*, Harcourt Brace Jovanovich Inc., New York 1977;
 Crozier Michael J., Huntington Samuel P., Watanuki Joji, *The Crisis of Democracy: Report on the Governability of Democracies to the Trilateral Commission*, New York University Press [A study prepared for Trilateral Commission], New York 1975;
 Moore Barrington (jr), *Social Origins of Dictatorship and Democracy; Lord and Peasant in the Making of the Modern World*, Beacon Press, Boston 1966;
 Huxley Aldous, *Brave New World*, Musson Book Co., London 1950;
 Myrdal Gunnar, *Rich Lands and Poor: The Road to World Prosperity*, 1957;
 Parsons Talcott, *The Social System*, Glencoe (Ill.) 1951;
 Riesman David, *The Lonely Crowd*, Yale University Press, New Haven 1959;
 Wallerstein Immanuel, *The Modern World System*, 1980;
 Wirth Louis, *Urbanism as a Way of Life*, „American Journal of Sociology” vol. 44, 18-19 July 1938.

LITERATURA WSPÓŁCZESNA

- Dahrendorf Ralf, *The Third Way and Liberty*, „Foreign Affairs” vol. 78, nr 5 [October] 1999, s. 13 n.;
 Drucker Peter F., *The Global Economy and the Nation State*, „Foreign Affairs” vol. 76, nr 5, 1997, s. 159 n.;
 Gilpin Robert, *The Challenge of Global Capitalism*, Princeton University Press, Princeton 2000;
 Goldsmith James, *The Trap*, Carroll & Graf, New York 1959;
 Grieder, William, *One World, Ready or Not: the Manic Logic of Global Capitalism*, Simon & Schuster, 1997;

- Huntington Samuel P., *The Lonely Superpower*, „Foreign Affairs” vol. 87, nr 2, 1999, s. 35-49;
- Ignatius David, *A Global Marketplace Means Global Vulnerability*, „The Washington Post” 1999;
- Korten David C., *When Corporations Rule the World*, Kumarian Press 1995;
- Nayyar Deepak, *Globalization: The Past in our Present*, Pan-Asia Networking 1995;
- Petrella Ricardo, *Tomorrow's City States*, „New Perspectives Quarterly. The Gazette” 8 Aug 1992;
- Rosecrance Richard, *The Rise of the Virtual State*, „Foreign Affairs” vol. 75, nr 4, 1996, s. 45-61;
- Seligman Adam B., *Trust and the Changing Terms of Social Solidarity*, „The Hedgehog Review: critical reflections on contemporary culture” vol. 3, nr 1, 2001, s.78-98;
- Sen Amartya, *A World of Extremes: Ten Theses on Globalization*, „Los Angeles Times” 2001;
- Soros George, *Open Society: Reforming Global Capitalism*, Public Affairs, New York 2000;
- Strange Susan, *The Retreat of the State*, Cambridge University Press, New York 1996;
- UNCTAD: *Trade and Development Report*, 1999;
- Zwass Adam, *Globalization of Unequal National Economies*, M. E. Sharpe, London 2002.

ZESZYTY INSTYTUTU ZACHODNIEGO

- Nr 1/1998 **Danuta Berlińska**, *Postawy młodzieży licealnej wobec niemieckiej przeszłości i „małej ojczyzny” na Śląsku Opolskim*, 24 ss.
- Nr 2/1998 **Andrzej Brencz, Maria Wagińska-Marzec**, *Zrzeszenia pionierów – nowe zjawisko społeczne na Ziemiach Zachodnich*, 35 ss.
- Nr 4/1998 **Andrzej Graś**, *Pozycja prawna Komitetu Regionów w systemie instytucjonalnym Unii Europejskiej de lege lata et de lege ferenda*, 28 ss.
- Nr 5/1998 **Piotr Kalka**, *Polityka badawczo-rozwojowa Wspólnot Europejskich – w perspektywie przystąpienia Polski do ugrupowania*, 36 ss.
- Nr 7/1998 **Piotr Kraszewski, Maria Rutowska**, *Funkcjonowanie poniemieckiego zabytku w świadomości mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych (na przykładzie wsi Broniszów w woj. zielonogórskim)*, 25 ss.
- Nr 8/1998 **Krzysztof Malinowski**, *Politycy niemieccy wobec rozszerzenia NATO na Wschód*, 28 ss.
- Nr 9/1998 **Zbigniew Mazur, Krzysztof Wawruch**, *Nauczyciele wobec przeszłości Ziem Zachodnich i Północnych*, 80 ss.
- Nr 12/1998 **Maria Tomczak**, *Młodzież z województwa zielonogórskiego wobec niemieckiej przeszłości swojego regionu*, 22 ss.
- Nr 13/1999 **Zbigniew Mazur**, *Dziedzictwo Ziem Zachodnich i Północnych w stosunkach polsko-niemieckich (1990-1998)*, 52 ss.
- Nr 15/2000 **Krzysztof Malinowski**, *Polityka rządu Gerharda Schrödera wobec Polski 1998-1999*, 29 ss.
- Nr 16/2000 **Bogdan Koszel**, *Konflikt na Bałkanach (1991-1999) a bezpieczeństwo europejskie*, 70 ss.
- Nr 17/2000 **Natalia Jackowska**, *Polska w procesie integracji europejskiej – stanowisko Kościoła katolickiego*, 35 ss.
- Nr 18/2000 **Jadwiga Kiwerska**, *Rola Stanów Zjednoczonych w konflikcie kosowskim*, 64 ss.
- Nr 19/2000 **Anna Wolff-Powęska**, *Problem niemiecki po zjednoczeniu*, 65 ss.
- Nr 20/2001 **Ilona Romiszewska**, *Bankowość niemiecka – wyzwanie XXI wieku*, 25 ss.
- Nr 21/2001 **Piotr Kalka**, *Rząd Schrödera wobec problemów integracji ekonomicznej w Unii Europejskiej*, 32 ss.
- Nr 22/2001 **Jadwiga Kiwerska**, *Problemy partnerstwa transatlantyckiego*, 52 ss.
- Nr 23/2001 **Andrzej Sakson, Joanna Sterzyńska**, *Postawy mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych a pretensje niemieckich środowisk ziomkowskich*, 96 ss.
- Nr 24/2002 **Zenon Romanow**, *Kreowanie polityki pamięci na Pomorzu Zachodnim w latach 1945-2000*, 32 ss.
- Nr 25/2002 **Andrzej Sakson**, *Przeszłość i teraźniejszość stosunków polsko-niemieckich w świadomości społecznej Polaków*, 32 ss.
- Nr 26/2002 **Zbigniew Mazur, Krzysztof Wawruch**, *Niemieckie komponenty w świadomości historycznej studentów Ziem Zachodnich i Północnych*, 32 ss.
- Nr 27/2002 **Maria Wagińska-Marzec**, *Spory o nazwy miejscowości na Opolszczyźnie jako syndrom walki o tradycję*, 42 ss.
- Nr 28/2002 **Grzegorz Strauchold**, *Wrocław głównym ośrodkiem uroczystości historycznych na Ziemiach Zachodnich i Północnych (1945-1970)*, 55 ss.
- Nr 29/2002 **Piotr Kalka**, *RFN wobec problemu ukończenia budowy jednolitego rynku wewnętrznego*, ss. 30